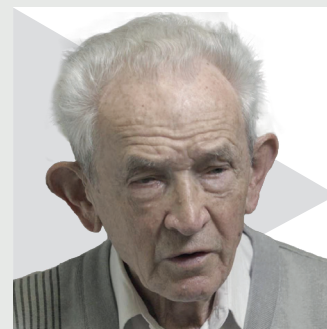




## Bogdan Bomert

część I z I

Sygnatura notacji: **N1302**  
Data urodzenia: **26.10.1933 r.**  
Data nagrania: **20.09.2018 r.**  
Miejsce nagrania: **IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Jacek Ryszko**  
Czas nagrania: **część I: 72 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Jacek Ryszko:** Proszę się przedstawić.

**Bogdan Bomert:** Nazywam się Bogdan Bomert, urodziłem się 26 października 1933 roku w Warszawie, w szpitalu Dzieciątka Jezus. W Warszawie przebywałem do trzeciego roku życia, tam mieszkali moi rodzice. Później przeprowadziliśmy się do Działdowa. W Działdowie mieszkali rodzice... No, nie rodzice, matka mojej matki. Tam poznali się też moi rodzice. W Działdowie mieszkaliśmy w budynku przy ulicy Pocztowej m.5. Tam ojciec prowadził oprawę ksiązek, sposób na zarabianie pieniędzy. W sierpniu, chyba w sierpniu albo w lipcu... Nie, w lipcu 1939 roku ojciec mnie i moją siostrę Halinę wywiózł taką bryczką, to pamiętam, bryczka taka jednokonna. Zawiózł nas do swojej matki, do miejscowości Łaszewo, mała wioska niedaleko Raciąża. Raciąż z kolei był w powiecie sierpeckim. To jak idzie o te takie drobiazgi. Teraz dalej opowiadać o swoim dzieciństwie?

**Jacek Ryszko:** Jak najbardziej.

**Bogdan Bomert:** Więc z Działdowa to jeszcze tylko tyle pamiętam, że to był dom piętrowy, właścicielką była pani Poznańska, która nawet słyszała o aresztowaniu mojego ojca. Bo jak byłem później u niej w pewnym roku, no kilka lat temu, to wspominała, że: „To pamiętam, że twojego ojca aresztowano”. Tyle ona wiedziała. Z tego domu to pamiętam, że z tyłu był duży ogród, w tym ogrodzie tato hodował jeszcze króliki. I moim takim niezbyt miłym takim obowiązkiem było zbieranie trawy dla tych... Czy mi się podobało, czy nie, tato powiedział: „Masz tutaj zbierać i nie dyskutuj”. W tym ogrodzie były też jeszcze... Był przechowywany lód, bo wtedy jeszcze lodówek nie było, no więc

wszelkie tego... Czyli duży wykop, w którym były takie tafle, duże tafle lodu zakopywane do ziemi, żeby one przez lato po prostu przebywały. Później po przyjeździe do Łaszewa, nie pamiętam, w jaki sposób znaleźliśmy się w miejscowości Ćwiklinek u siostry mojego ojca, Jadwigi. W odległości jakieś półtora kilometra od Słoszewa, bo to było Słoszewo, była miejscowość Ćwiklinek, w którym ojciec za staraniem tej siostry, bo ona była wójttem w tej miejscowości, z pewnymi, jak się to mówi, podarunkami, pojechała do Płońska. W Płońsku ojciec uzyskał zezwolenie na prowadzenie sklepu w Ćwiklinku. I tu bym chciał pokazać zdjęcie ojca, gdzie był jego sklep, pierwszy sklep. Tam są rodzice i ja z moją siostrą. Ojciec był, taki był bardzo energiczny i z rozmachem. Sklepik to była dla niego za mała sprawa. Obok ten budynek był dość duży, prowadził skup mleka, tak zwaną mleczarnię. Tego mała, skup jaj też jeszcze prowadził. Tam był chyba do czterdziestego drugiego roku, w czterdziestym drugim roku przeniósł się do Gralewa. I ja, żeby już chodzić do szkoły... Wtedy były tylko niemieckie szkoły, polskich nie było. Więc zawiózł mnie do swojej matki, do Łaszewa. Tam w Łaszewie była niemiecka szkoła i tam chodziłem aż do stycznia czterdziestego piątego roku. W czterdziestym piątym roku już wkroczyli Rosjanie i skończyła się niemieckie... niemiecka historia. Więc jak idzie o pobyt mój w Łaszewie, byłem u mojej babci, Józefiny Bomert. Po niemiecku Józefina, po polsku Józefa. Uczyłem się tak średnio, w zasadzie taki mój wyrzut sumienia, że za mała przykładam się do nauki, stąd zbyt takim mądrym znów nie jestem, a mógłbym być, bo moi trzej synowie, to wszyscy trzej informatycy, bardzo mądry ludzie, tak bym to powiedział i zazdroścę im tej ich mądrości. Wracając do Łaszewa. Więc tam z roku na rok przechodziłem, z uwagi na moje zdolności wewnętrzne, to bez specjalnego przykładania się do nauki, z roku na rok przechodziłem z klasy do klasy. Tym przykładem takiej mojej zdolności było jeszcze to, że będąc w piątej klasie, na matematykę chodziłem do szóstej klasy, bo tu już było za mała dla mnie. W czterdziestym piątym roku, 17 stycznia wkroczyli Rosjanie do Łaszewa. Przejechali samochodami uzbrojeni po zęby szybko przez wioskę. Za tą pierwszą szpicą wchodzili już następni. Oni weszli na podwórze babci. Babcia miała gospodarstwo. Tam weszli, wyciągnęli świniaka z tego, postawili duży taki kij, ruszt. Jego zatego i zaczęli go opiekować. I tam zajadali. Na szczęście myśmy znaleźli wszyscy dobrze język polski, płynnie język polski, nie było problemu, stąd nie traktowali nas jak Niemców. Bo normalnie to wszędzie tylko często latał jakiś Rosjanin z pistoletem: Kuda germaniec? I jeżeli znaleźli, to zaraz aresztowanie i tak dalej. Więc z nami obchodzono się po prostu łagodnie, tak by to można powiedzieć. Później, to było już na wiosnę czterdziestego piątego roku, przyszła siostra mojej matki, Julia i zabrała mnie i moją... Obie siostry były ode mnie młodsze, ale tę starszą siostrę i oboje przez dwa dni szliśmy do Konopek. To jest miejscowość między Mławą a Ciechanowem. I tu siedemnaście kilometrów, i tu siedemnaście. Konopki-Piaski tak zwane. Tam była matka mojej matki i siostry: Julianna i Stanisława, też z dziećmi. Tak że tam był taki po prostu dzieciniec, można by powiedzieć. Było nas tam sporo. Tam przebywałem do mniej więcej lipca. W lipcu wróciła moja mama Władysława z obozu w Ravensbrück. Ja byłem wtedy, to była niedziela, ja poszedłem sobie do torów kolejowych, patrząc z dala na wesele. Przychodzi brat mojej mamy i mówi: „Bogdan, chodź do domu, bo mama przyjechała”. Ja mówię: „Aha, na pewno coś trzeba zrobić i dlatego chodź do domu”. Ale rzeczywiście: przyszedłem, patrzę, stoi taka niziutka, czarna kobieta. Bo jak odchodziła, jak ją aresztowano, to była dla mnie wysoka. Ja już podrosłem i wtedy taka mała. Babcia z kolei, jej mama, leżała nieprzytomna na łóżku z radości, że ta wróciła z obozu. I tam przebywaliśmy jakieś dwa miesiące. Myśmy się pokłócili z dziećmi, matki między sobą się pokłóciły i mama powiedziała: „Dzieci, my nie mamy tu co szukać”. I stąd żeśmy zwyczajnym... Wtedy pociągów osobowych jeszcze nie było, tylko były po prostu towarowe platformy te odkryte. To było lato, ładna pogoda, więc wsiedliśmy na... Do pociągu, dojechali do Nasielska, z Nasielska do Raciąża. W Raciążu zatrzymaliśmy się u księdza, który był proboszczem w Gralewie, do którego chodziliśmy na jabłka. Jak

to zwykle bywa, do księdza chodziło się na jabłka. Więc u niego żeśmy przesiedzieli trochę i na piechotę poszliśmy do Gralewa, do jakichś tam znajomych. To mama tylko wiedziała. I tam żeśmy w Złotopolu, to jest jakiś kilometr od Gralewa, w Złotopolu tam żeśmy wynajęli u jakichś ludzi kuchnię. W tej kuchni było jedno łóżko, na którym spaliśmy w czwórce. Mama w tym czasie jeszcze dostała pieniądze od jednej pani, akuszarki, która w Płońsku mieszkała i pożyczyła mamie trzy tysiące złotych, to pamiętam kwotę. Powiedziała: „Będiesz miała, to mnie oddasz, nie to nie”. No ona, ponieważ prowadziła ta pani tak zwaną aborcję, no to pieniędzy miała pod dostatkiem i dla niej te trzy tysiące to było nic, dla mamy natomiast to był olbrzymi majątek. Z tym jeździła do Łodzi, kupowała nici, apaszki i podobne drobiazgi, z tym wracała do domu i ja z tym chodziłem po domach, żeby sprzedawać. To był sposób, początkowy sposób zarabiania, na chleb, po prostu żeby było. A chleba było tyle, że... Mama potem jeździła znów do Łodzi. Czy tu, czy tam, w domu jej za długo nie było, myśmy byli sami. Gotowaliśmy w tej kuchni, paląc słomę. I tylko kartofle, ugotowane kartofle, plus taki kawałeczek wielkości paznokcia tłuszczu do tego. I to był nasz taki posiłek. Śniadań, ani kolacji nie pamiętam, w jaki sposób były. W Gralewie zacząłem chodzić do szkoły. Wcześniej jeszcze jedna z pracownic sklepu w Gralewie w czasie okupacji, nauczycielka, wzięła mnie do siebie do domu, żeby tam pójść. Ona prowadziła szkołę. Szkoła jeszcze ławek wtedy nie miała, tylko były takie po prostu długie ławki na tym i tam żeśmy, uczniowie siedzieli. Za dwa dni przyszedł pan do tej nauczycielki i powiedział: „Mój syn z Niemczakiem nie będzie siedział na jednej ławce. Niech on stąd znika”. No i niestety musiałem tę szkołę opuścić i zacząłem chodzić już do szkoły w Gralewie. Tam byłem parę... Miesiąc, chyba miesiąc, nie więcej. Było dyktando, takie dyktando na pół strony zeszytu, w którym miałem trzydzieści parę błędów. W niejednym wyrazie nawet trzy błędy. No bo znałem w mowie, język polski znałem dobrze, ale z pismem było gorzej, bo pismo to tylko po niemiecku. No więc to na przykład „cz”, to oczywiście „tsch”, a nie „cz”. Ale to drobiazg. Stamtąd przeprowadziliśmy się do Zaborowa. To było pięć kilometrów od Gralewa, mała wioska. Z samej nazwy to jest Zaborowo, czyli gdzieś tam za borem. Wioska, która miała, ja wiem? Osiem-dziesięć dymów tak zwanych, czyli gospodarstw tylko i nic więcej. Dom był po takim majątku, można powiedzieć. Drewniany dom, ale bardzo ciepły, z tego względu, że... Dlaczego ciepły. Ogrzewanie, jakie myśmy mieli, to było tylko tak zwana, żelazna taka kuchenka, tak zwana koza. Drzewo ja przynosiłem z lasu i tym żeśmy palili. I ogrzewając tylko tą kozą przez zimę... Zima wtedy, jedna z zim była do trzydziestu stopni mrozu. A ja chodziłem jeszcze, pierwsze moje kroki do szkoły były w tak zwanej miejscowości Kaczorowy. To był duży majątek i w tym majątku była duża sala. Po lewej stronie była jedna klasa, po drugiej stronie druga klasa. Dwie klasy równolegle prowadził jednocześnie nauczyciel. Dla ciekawości jeszcze, ojciec jak był w czasie okupacji, to miał duży sklep i zatrudniał bardzo dużo ludzi z uwagi na to, żeby uchronić ich przed wyjazdem do Niemiec na roboty. Miał nawet gołębiarza. Żona tego gospodarza w tej szkole w Kaczorowych była moją nauczycielką. I to też taki dziwny zbieg okoliczności, można by powiedzieć. Po skończeniu szóstej klasy w tych Kaczorowych, zacząłem chodzić pieszo pięć kilometrów do Racięża, do siódmej klasy. To było o tyle nieprzyjemne, że trzeba było rano na ósmą zdążyć, to trzeba było o tej siódmej wyjść. To jeszcze, już jesienią i zimą, to jeszcze był mrok. I ja byłem samiuteńki tylko tam, i wchodziłem, po przystu-czterystu metrach wchodziłem do lasu. Już jak wychodziłem z lasu, już zaczynało się widno robić. Brałem też lekcje, korepetycje tak zwane, z języka francuskiego. No więc po szkole jeszcze na korepetycje i do domu wychodziłem z Racięża około trzeciej-czwartej i już dochodząc do lasu, znów zaczynał się półmrok. Ale jakoś tam sobie radziłem. Po siódmej klasie poszedłem do liceum ogólnokształcącego. To była ósma klasa, łącznie do matury. Tak że w Zaborowie przebywałem do 1950 roku. W pięćdziesiątym roku przenieśliśmy się pod Racięż, do Witkowa. Tam żeśmy wynajęli też taką kuchnię, a to ze względu nie na mnie, ale ze względu na siostry, bo siostry już były w tym

wieku, że musiały chodzić... Najpierw chodziły początkowo w Kaczorowych, a potem już musiały iść do Racięża. Dla dziewczyn małych, no bo w pięćdziesiątym roku to najmłodsza siostra miała dziesięć lat. Tak że z tego względu mama postanowiła, że przeprowadzimy się bliżej Racięża. I ja chodziłem do tego liceum przez cztery lata, tam zrobiłem maturę. Po maturze zaraz zapisałem się na studia, na Politechnikę Warszawską, ale ponieważ się wiele nie uczyłem – to było raz, a drugie: z fizyki mieliśmy nauczyciela, którego uczniowie, cwaniaki od razu wykorzystali. Wystarczyło panu profesorowi powiedzieć wyraz: „karabin” i już lekcji z fizyki nie było, bo był temat na temat wojska, tego i tak dalej. I na egzaminie na Politechnice były pytania z fizyki. Jedno, dwa, trzy pytania, o którym nic nie wiedziałem, no to podziękowano mi i wróciłem z powrotem do Witkowa, nic z tego nie było. Później po raz drugi złożyłem papiery na Politechnikę i tam zostałem przyjęty, ale to tylko dzięki temu, że ludzie, u których mieszkaliśmy, brat tego, syn właściwie tego właściciela, był pracownikiem na Politechnice Warszawskiej w Instytucie Elektryfikacji i Mechanizacji Rolnictwa. I on mnie tam po prostu wepchał. Pierwszy semestr zaliczyłem, z drugim semestrem już były problemy i po roku czasu... W międzyczasie jeszcze miałem operację wyrostka robaczkowego i po tej operacji już wróciłem do domu. Koniec z Politechniką. Co dalej. Ponieważ zawaliłem, jak to się mówi, naukę na Politechnice, to już tam w Raciężu nie mieliśmy my właściwie nic do szukania. Mała miejscowość, o pracy mowy nie było, więc mama zdecydowała wyjechać z nami do Gdańska, w którym mieszkała jej siostra. Jej siostra i jej kuzyn. Tam żeśmy się zatrzymali początkowo u niej kilka dni. Później już zatrudniłem się w Stoczni Gdańskiej. I ja, i mama, oboje. Przez długi czas jeszcze pamiętałem numer ewidencyjny ze Stoczni Gdańskiej. W Stoczni Gdańskiej w tym czasie pracowało około dwunastu tysięcy ludzi, tak że to była olbrzymia rzesza. Ja zostałem zatrudniony w magazynie głównym jako wydawca materiałów. Mama natomiast była jako wydawca narzędzi w narzędziowni, w mechanicznym oddziale. Ja pracowałem tam... Po trzech miesiącach zostałem powołany do wojska i poszedłem do wojska. I zamiast być w wojsku, byłem w tak zwanym wojsku, w kopalni. Na Śląsk mnie tam zawieziono i byłem w kopalni, na dole pracowałem przy tak zwanej brygadzie drzewnej, czyli to woziliśmy spod szybu drzewo na tak zwany przodek, tam, gdzie po prostu górnicy przodowi najpierw wiercili otwory, odstrzelowali i potem żeby to się nie zawaliło, to była tak zwana zabudowa, czyli dwa „stemple” tak i jeden „stempel” w poprzek. I to drewno myśmy na plecach nosili aż do przodu. Cwaniaki chłopaki się wiele nie zastanawiali, tylko taśma, która była, która sprowadzała węgiel na dół, no to co tam problem, żeby ona w drugą stronę szła. No to donosiliśmy tylko na plecach te dosyć ciężkie kłody, bo to było surowe drzewo, mokre jeszcze – ale na taśmę, ciach do góry i zamiast siedem-osiem godzin pracować, po dwóch godzinach myśmy się kładli na Felę tak zwaną. „Fela” to jest taka deska, która była kładziona pod ten... Tam żeśmy spali i rano wyjeżdżali do góry już niby ciężko spracowani i kładliśmy się spać, już nas ćwiczenia nie obowiązywały. Bo normalnie to, jako jesteście w wojsku, to na ćwiczenia trzeba było chodzić i tak dalej. Nas to nie obowiązywało, bo jesteśmy po pracy. Po wyjściu z wojska wróciłem do Gdańska, zatrudniony z powrotem w Stoczni Gdańskiej, początkowo na wydziale mechanicznym przy tokarce automatycznej. To taka mała tokarka, która automatycznie robiła małe detale. Stamtąd przeszedłem na dużą tokarnię. W tej tokarni byłem niedługo i na dużą wiertarkę. Ale ponieważ niewiele wiedziałem, a na dużej wiertarce to robiono elementy duże i te elementy to były po prostu odlewy żeliwne. To taki odlew kosztował trochę. No to młody chłopak, który niewiele wiedział, to mi nie dawano. Byłem nawet na nocnej zmianie, ale całą nocną zmianę prawie przesiedziałem, bo mnie nie dawano tej, ze względu żebym nie popsuł drogiego elementu odlewu. Za długo tam nie byłem, zarabiałem bardzo mało, więc postanowiłem... W międzyczasie jeszcze będąc w wojsku, zrobiłem kurs kreślarski i poszedłem do działu konstrukcyjnego, żeby zatrudnić się już tam. Żeby mieć na to zezwolenie, musiałem najpierw być u dyrektora naczelnego, który wyraził zgodę. On powiedział

tak: „No chłopaku – nie wiem, jak się tam do mnie odezwał – w zasadzie jako tokarz to możesz dobrze zarabiać”. Jak mu powiedziałem tylko, ile zarabiałem, od razu podpisał zgodę, żeby przejść do działu konstrukcyjnego. Tam poszedłem. Oczywiście było najpierw sprawdzenie, jak kreślę. Ponieważ kreśliłem bardzo dobrze, przyjęto mnie od razu i w krótkim czasie tam, mimo że ze mną jako kreślarze pracowali też... Tam dziewczyna była między innymi po technikum. I ja od niej zarabiałem dużo więcej z uwagi na to, że kreśliłem bardzo dobrze. To jak idzie o zawodowe towarzystwo, to byłoby tyle. W Stoczni Gdańskiej pracowałem do 1962 roku i przenieśliśmy się do biura konstrukcyjnego CBKO2, Centralne Biuro Konstrukcji Okrętowych nr 2. To było wojskowe biuro, oni robili projekty dla marynarki wojennej. Tam byłem cztery lata jako kreślarz, stamtąd przenieśliśmy się do Gdyni, do tak zwanego WAN-u, Wytwórnia Aparatów Natryskowych. Natryskowe aparaty to były małe rzeczy, a oni głównie produkowali sprężarki. Tam byłem... W międzyczasie postanowiłem jeszcze iść na politechnikę i najpierw byłem na politechnice, niewiele się ucząc, to nie zaliczyłem. Później już zdecydowałem się, urażoną ambicją, bo chłopacy, którzy ze mną byli na tym pierwszym kursie matematyki, oni politechnikę skończyli. To sobie pomyślałem: „Bogdan, ten skończył politechnikę, a ty nie?”. I zawiązałem się, i zacząłem studia, które skończyłem. Tak że już byłem po politechnice i rok czasu po skończeniu politechniki z tego WAN-u odszedłem, bo tam zarobki były nie za wielkie. I poszedłem do biura PROMOR-u, to było biuro, które pracowało dla przemysłu okrętowego, robiąc oprzyrządowanie, czyli między innymi dźwigi. I ja skończyłem dźwigi, więc to była moja specjalność. Tam jak poszedłem, to zarabiałem od razu, dosłownie od razu dwa razy tyle, tak że nie trzy tysiące a siedem tysięcy. Gdy już tam się wciągnąłem i pracowałem po godzinach, to zarabiałem trzykrotnie więcej niż moja żona, od razu. Tak że już warunki potem były dużo lepsze. Ożeniłem się bardzo szczęśliwie, w sensie tym, że żonę dostałem bardzo dobrą, mądrą. Urodziły nam się w drugą rocznicę ślubu bliźniaki: i syn, i córka. Córka niestety, jak już była dorosła, już chodziła do liceum, odkryto u niej bardzo, jakby to powiedzieć, chorobę, nieuleczalną chorobę, tak zwany toczeń rumieniowaty. To jest choroba, która, tak jak mi później powiedziano, pozwala żyć do trzydziestego piątego roku życia. A więc córka niestety... I nasza decyzja była, w tym czasie jak ona była chora, w Polsce nie było jakiejś medycyny, nic: ani lekarstw, ani nic. Uważaliśmy, że jedyny ratunek będzie wyjechać do Niemiec, tam ewentualnie medycyna, być może, ją uratuje. Pojechaliśmy najpierw my sami, ja i ona, samochodem do Niemiec, do znajomego, bo w tym czasie już mój najstarszy syn był w Niemczech i poprzez mojego kuzyna... Kuzyn miał z kolei kolegę ze studiów. On był nauczycielem, kierownikiem szkoły. On z kolei miał znajomego lekarza. Pojechaliśmy tam na badania. I lekarz, który nas zbadał, stwierdził, że no, dla córki ratunek tutaj może być. I z tego względu, wracając do Gdańska, postanowiliśmy, że przyjedziemy na stałe do Niemiec. Nie dlatego, żeby z uwagi na miłość do Niemców, która była wręcz negatywna, ale żeby ratować córkę, zostaliśmy na stałe w Niemczech. Najpierw był tak zwany obóz przejściowy w Osnabrück. Po dwóch tygodniach, bo początkowo ten, który przyjmował, decydował... Bo ja miałem ze sobą tylko zeznania brata mojego ojca, Zygmunta, który już tam był, był kierownikiem szkoły w Niemczech, w takiej małej miejscowości Rhede. Ale on o tym nie chciał nawet słuchać. Mówi, to są papiery, które podpisane przez tamtego burmistrza, ale tylko to, co on powiedział. Ale czy to tak było, tego on już nie podpisywał. Więc nie chciał nawet słuchać ze mną... Rozmawiać ze mną. Ale znalazł jeden paperek, gdzie było wspomniane, że ojciec był w niemieckim wojsku i: „Ja muszę sprawdzić, czy to jest rzeczywiście, bo były przypadki, że szli ludzie na cmentarz, spisywali dane, mówili: »To są nasi dziadkowie«. Dlatego ja muszę sprawdzić w Berlinie, czy ten dokument jest autentyczny”. Więc czekaliśmy jeszcze trzy-cztery dni, zanim z Berlina przyszło potwierdzenie, dokument autentyczny. Zaczął z nami zupełnie inaczej rozmawiać. Od razu przyjął i tak dalej. I przenieśliśmy się po dwóch tygodniach pobytu w tym obozie przejściowym, przenieśliśmy się do miejscowości Appenfeld.

Tam był taki dom, w którym przebywali ci właśnie przyjezdni z Polski. Tam byliśmy też nie za długo, ja wiem? Pół roku czy rok. W końcu znaleźliśmy jedno mieszkanie. Ale to tak właściwie to nie jest to takie istotne. Później, po przybyciu tam, przenieśliśmy się do innej miejscowości, w której był taki pusty dom, niezamieszkały już chyba przez trzy lata. I tam ten wójt, który tam był... I ja wracając stamtąd z gminy, poszedłem do miejscowości Heinebach, w którym stał budujący się dom piętrowy, ładny. Mówię: „O, tu chciałbym mieszkać”. I żeśmy złożyli wniosek u architekta, który był budowniczym tego domu, żeby ewentualnie dostać tam mieszkanie. Ten pan powiedział: „Dobrze, ale ja muszę sprawdzić najpierw, czy wam w ogóle... Czy macie prawo do tego, żeby zamieszkać”. A chodziło o to, że on dzwonił do tego wójta, gdzieś tam mieszkali i pytał się: „Co to za ludzie?”. U niego mieliśmy opinię dobrą, z tego względu ten powiedział: „Dobrze, macie zezwolenie, możecie mieszkać”. A to chodziło o to, że: „Aha, nie będę miał problemu z tymi ludźmi”. I tam dostaliśmy piękne mieszkanie na parterze. Zaczęliśmy to mieszkanie przygotowywać, tapetować. Przez okno zagląda gość i mówi: „A co pan tu robi?”. Ja mówię: „Szykuję sobie mieszkanie”. „No przecież architekt mnie to mieszkanie – powiedział – nie mnie, tylko mojemu synowi, bo synowa była w ciąży i chciała, żeby mieć mieszkanie na dole, żeby można było wózek wystawiać na dole”. I ja byłem przerażony. On mówi po niemiecku płynnie, ja prawie w ogóle, więc szansa z nim nie miałem żadnej. Boże kochany! Nie będę miał mieszkania. A tu chodziło o to, jak żeśmy poszli do architekta, architekt powiedział: „Porozmawiaj pan z tym panem, jeżeli się zgodzi, żeby on był...”. Bo on dostał mieszkanie na pierwszym piętrze. „Jeżeli on się zgodzi, że pan może mieszkać na piętrze, a nie na dole, to dobrze. To pańskie szczęście”. Ten gość się zgodził nawet na tyle, że mi zwrócił pieniądze za tapety, za wszystko, byłem tylko ja, się zgodził mieszkać na piętrze, co było dla mnie wręcz marzeniem. I dlatego mówię: „Dobrze, dobrze, ja się chętnie zgadzam na to. Łaskawie się zgadzam, żeby ja mógł mieszkać na piętrze, a ty na parterze”. I tam mieszkaliśmy jedenaście lat. Nasz najmłodszy syn, jadąc z nami do Niemiec, miał dziewięć lat, nie znał ani jednego słowa niemieckiego. Zawieźliśmy go do szkoły, tam żeśmy go zostawili i on w krótkim czasie... Nauczycielka powiedziała mu: „Siedź na razie tylko i słuchaj”. Po miesiącu czasu on już wiedział tyle, że jak ona miała temat poruszony, to on jej podpowiadał. „Uuu, bratku, to ty wszystko rozumiesz. Teraz już nie ma, już siedzisz i jesteś jako normalny uczeń”. Chłopak skończył maturę w Niemczech. Najgorsze było to, że on skończył maturę, niby był tu, ale on powiedział: „Ja będę jechał do Polski”. Pojechał z nami tam, gdzie syn już pracował, ten najstarszy w tej amerykańskiej firmie. Pojechał tam, żeby ewentualnie jego wziąć do pracy. Ten chłopak nie za bardzo jakoś tego, bo rozmawia z szefem tej firmy, ale mówi: „Ja będę chciał jechać do Polski. Chcę się zatrudnić w firmie niemieckiej, ale – mówi – ja będę jechał do Polski”. No to nie było mowy o tym, żeby go ten tutaj zatrudnił. Ale jak poszedł na studia i jak usłyszał rozmowy polskich studentów, którzy tam przyjeżdżali też na semestr, na dwa semestry i jak się dowiedział, jaka jest praca w Polsce, jakie trudności, żeby w Polsce dostać pracę: „O nie, to ja będę jednak w Niemczech”. Tak że on został w Niemczech. To właściwie chyba tyle, jeżeli idzie o to. Teraz chyba można o ojcu coś opowiedzieć. Jeżeli idzie o ojca. Ja mieszkałem, chodząc do szkoły niemieckiej, mieszkałem u mojej babci w Łaszewie. Do Gralewa przyjeżdżałem tylko na wakacje. Między innymi na jednych wakacjach w 1943 roku, było tak, że zostały podpalone jakieś stogi u niemieckiego gospodarza. W tej miejscowości Gralewo właściwie to tam... To była polska wioska i tam było, ja wiem, trzech-czterech niemieckich gospodarzy, którzy wyrzucili Polaków i mieszkali tam. Więcej ich tam nie było. Ale z uwagi na to, że te stogi zostały spalone, Niemcy postanowili powiesić dziesięciu Polaków. Taki zapadł wyrok Gestapo z Nowego Dworu. Oni przyjechali, powiedzieli: „Bomert, ty masz taką... Tutaj trójkołowy samochód transportowy, przywieź tych Polaków do Gralewa”. Tak że ojciec musiał, chciałby nie chciał, musiał pojechać, przywiózł ich tutaj i tu miała się odbyć w Gralewie egzekucja. No dla chłopaka to było coś, przecież gratka, żeby nie

obejrzyć tego? Ale powiedział: „Won! Nawet nie ma mowy o tym. Paręnaście domów będziesz dalej, a nie tu, nie tylko, że blisko, gdzie myśmy mieszkali, tylko dużo dalej, żebyś nie widział tego”. Tam odbyła się egzekucja. W następnym roku w czasie wakacji, Wielkanoc to była, ja przyjechałem... Też byłem w domu na wakacjach. Była Wielkanoc w 1944 roku, 9 kwietnia. Dla ojca... Ojciec powiedział tak: „To jest bardzo ważny dzień. Pierwsze: 9 kwietnia Wielkanoc. 9 kwietnia ja się urodziłem i 9 kwietnia...”. Zaraz, trzecie jeszcze co było, no nieważne. W każdym bądź razie to było tak: W tym czasie też na Wielkanoc przyjechał do ojca brat jego, Henryk, który był zatrudniony w sztabie niemieckim w Berlinie.

**Jacek Ryszko:** A ilu braci miał tata?

**Bogdan Bomert:** Ojciec miał czterech braci: Najstarszy Ludwik, który został rozstrzelany przez Niemców. Chodziło o to: Ludwik był naczelnym redaktorem w piśmie „Głos Sierpca” w Sierpcu. Sierpc, powiatowe miasto. Tam on był jako redaktor naczelny, pisał różne artykuły, między innymi był jeden niezbyt pochlebny artykuł na temat Hitlera. To przeczytał sobie jakiś, nie znam kto, jakiś pastor niemiecki. On powiedział: „O bratku, ty tak o Hitlerze piszesz, to mi się nie podoba”. Potem on pojechał do Rzeszy, ten pastor, wrócił w trzydziestym dziewiątym roku z Niemcami z powrotem, od razu poszedł zameldować Gestapo, że ten Bomert tak i tak pisał o Niemcach, o Hitlerze. Jak on śmiał tak. Gestapo przyjechało, aresztowało od razu Ludwika z jego żoną razem. Powiedzieli: „Ty możesz sobie iść, ty nas nie interesujesz”. Ona zaś powiedziała: „Gdzie mąż, tam i ja”. I oboje tych dwojga Niemcy rozstrzelali. Wywieźli do lasu, rozstrzelali. Tak że to był najstarszy brat ojca. Drugi z kolei był Henryk, który po prostu pracował... Bardzo młody gość, kilka języków znał biegle i on przyjechał wtedy na Wielkanoc do ojca w odwiedziny. Tyle co wiem, ich była współpraca razem. Ojciec jako w AK, on tam przekazywał wiadomości ojcu. Trzeci brat to był Zygmunt, dla ironii losu on został zatrudniony w Gestapo. Czwarty brat, najmłodszy, Jan, był już w Wehrmachcie. W międzyczasie jeszcze, ale to już było po aresztowaniu ojca, on był w Wehrmachcie, i też przyjeżdżał na urlop do matki, do Łaszewa. Tak że było czterech braci, dwie siostry. Jadwiga, ta, która już była w Słoszewie, u której byliśmy na początku i Irena, która mieszkała niedaleko Łaszewa, w Siemiątkowie Koziebrodzkim. Tam miała gospodarkę i piątkę dzieci na końcu, aż piątkę dzieci. Teraz wracając do ojca. Po tej Wielkanocy 9 kwietnia, z tydzień, tak zwana przewodnia niedziela. Było późne już popołudnie, wieczór w zasadzie, ciemno już było. Siedzieliśmy w pokoju, w dużym pokoju, nagle z każdego okna – tam było chyba dwa albo trzy okna – z każdego okna nastąpił strzał. Był jakiś znajomy nasz, też starszy już taki gość – kulka przeszła dosłownie o milimetry obok jego głowy. Tak że nikt wtedy nie zginął, ale był strzał. Tato od razu przeskoczył przez przedpokój taki, bo nie wiedział, gdzie oni są. Tak że przeskoczył, wszedł na górę, tam była broń. On miał pistolet, ale tam były, granaty leżały. On rzucił ten granat po prostu na podłogę, wtedy ci napastnicy odeszli. To była w zasadzie, to był napad zorganizowany przez AL – Armię Ludową z niedalekiej wioski, w której w zasadzie ja wtedy chciałem chodzić do szkoły. Tak że stamtąd... Tam ten napad był zorganizowany. Oni dalej spokój i jeszcze tylko chcieli wrzucić jakiś, po prostu zapalną rzecz do tego sklepu. Niedaleko stała beczka z naftą. Gdyby im się udało przez kraty włożyć to i to by wybuchło, no to można sobie wyobrazić, jak by wyglądała sprawa, gdyby beczka z naftą wybuchła. Udało się, że nie. Następnego dnia... Co mnie już po pewnym czasie, właściwie teraz jak pisałem te wspomnienia, zdziwiło: skąd Niemcy wiedzieli? Bo to była wioska mała, telefon miał tylko ojciec, więcej nikt. Skąd Niemcy mogli wiedzieć, że był napad i że w ogóle taka rzecz miała miejsce. To jest jedno. Drugie, co mnie dziwiło: Jeżeli ojciec rzucił ten granat, a granat nie wybuchł, no można go było przecież sprzątnąć, to nie był

problem, na drugi dzień. Dlaczego? Nie wiem. W każdym bądź razie dlaczego się Niemcy dowiedzieli i przyjechali, tego nie wiem. I chyba jak się okazuje, to prawdopodobnie ktoś ojca wydał i Niemcy już mogli wiedzieć wcześniej i przyjechali już po ojca, de facto. Nie wiem, czy opowiadać jeszcze, jak w ogóle to następowało, bo ja właściwie niektóre rzeczy mówiłem już. Że gestapowcy przyjechali, ci dwaj, którzy byli u nas wcześniej, byli u nas w domu. Natomiast trzej pozostali rozłożyli się. Bo ja byłem na dworze, chłopak biegał. Ojca w tym czasie nie było. Był gdzieś, samochodem pojechał. Tak że jeden rozłożył się na jakichś cegłach, które jeszcze wtedy mieliśmy coś budować. Inny w drugim miejscu, w trzecim, tak że trzech porozkładało się tak. Taka w pewnym sensie obława. Za niedługi czas Niemcy wyprowadzili wszystkich mężczyzn, którzy byli w sklepie, wyprowadzili, położyli na podłogę, powiązali ręce sznurkami i oni leżeli na podłodze, a gestapowcy rozmawiali z mamą. I jak ojciec wrócił samochodem, wzięli go do domu. Wszedł do domu: „Aha, są ci, no to dobrze”. Oni wzięli ojca na rozmowę, nad taki, ja wiem? Pięćdziesiąt metrów był stawek taki nieduży. Nad ten stawek i tam była rozmowa, ja wiem, ile trwała? Nie wiem. Może z godzinę, może krócej. I wracali z ojcem, już ojciec był w kajdankach. I ja tak jakoś przypadkowo spojrzałem z tyłu, widziałem: „Aha, ojciec jest w kajdankach”. Dla mnie jako chłopaka to jeszcze nie było takie przerażające, ja nie wiedziałem, co to ma oznaczać. Weszli z ojcem skutym kajdankami do domu, rozmawiali z nim dosyć długo i postanowili już jechać, jechać z rodzicami. Tak że weszli do kuchni, tam rozkuli ojca. Tyle co wiem, widziałem, zabrali mu: „Oddaj pistolet”. Bo miał zezwolenie na broń, miał pistolet. „Oddaj ten pistolet”. Rozkuli go. „Pożegnaj się z dziećmi”. Tak że myśmy się pożegnali z ojcem, cała trójka. Potem ojca skuli z powrotem i zabrali ojca i matkę, wsiedli do samochodu, którym przyjechali i odjechali. Wcześniej jeszcze przyjechała ciężarówka i zabrała tych wszystkich powiązanych ludzi do samochodu, wywieźli. I później ojciec, matka i ich dwóch wsiadło do takiego gazika nie gazika, ja wiem, jak to było? W każdym bądź razie... I odjechali, zostawiając nas samych w domu. Skąd dowiedziała się mama ojca, tego nie wiem, bo na drugi dzień przyjechała babcia i nas zabrała do Łaszewa. Dlaczego? Jak się dowiedziała o tym? Tego też nie wiem. Bo przecież mieszkała, ja wiem? Piętnaście kilometrów... Dziesięć kilometrów za Raciążem, nie mając telefonu, nie mając nic. Ale to nieważne. Jak dowiedziała się, to było jedno. Drugie, co mnie dziwiło: bardzo bogaty dom, trzy samochody, fortepian i tak dalej. Nic nie wzięła, dosłownie nic, tylko dzieci i pojechała. Czy się bała, tego nie wiem. W każdym bądź razie takie są moje refleksje, dlaczego zrobiła tak a nie inaczej. Nie wiem, co dalej. Czy dalej losy opowiadać odnośnie tego?

**Jacek Ryszko:** To co pan wie dalej o losach ojca. Jak się pan dowiadywał o tej historii, która spotkała pańskiego ojca?

**Bogdan Bomert:** Jak idzie dalej o ojca. Jeszcze w międzyczasie babcia była raz w Nowym Dworze Mazowieckim. Mnie się wydawało, że to było znacznie dłużej. Tyle co wiem teraz, to był tylko miesiąc, więc krótko po aresztowaniu musiała tam być. Pojechała do Nowego Dworu. W tym czasie prawdopodobnie ojciec był na przesłuchaniu czy coś. Przypadkowo, że po prostu zawołali ojca. Tyle co babcia mi opowiadała, to ojciec wyglądał na skatowanego bardzo. Tak że z nim, z ojcem się jeszcze widziała raz tylko. Wróciła do domu, opowiadała. Mama w tym czasie była w obozie w Ravensbrück i pisała listy do nas. Babcia wysyłała co i raz, dosyć często paczki do obozu, żeby po prostu mama mogła przeżyć, no bo tam z jedzeniem nie było dobrze. Ale żaden z tych listów niestety nie zachował się, no bo to życie było tak burzliwe. Najpierw to, później no weszli już potem ci następni posiadacze tego gospodarstwa, Polacy, tak że to już, już nie było to, że: A! To mamy tu, to mamy tu. Więc papiery jako takie papiery po prostu zniknęły. Więc nie mamy żadnego śladu, żeby mama... Co mama do nas pisała. W niedługim czasie, bo to był styczeń jak... 17



stycznia jak weszli Rosjanie. A gdzieś na wiosnę przyszła siostra... A! To już opowiadałem chyba. Że przyszła siostra Jula i zabrała nas do Konopek, z Konopek do Gralewa i tak dalej.

**Jacek Ryszko:** Kiedy pan się dowiedział, dlaczego aresztowali pańskiego tatę? Kiedy to było? Czy jak mama wróciła z obozu, opowiedziała panu? Bo jeszcze nie rozmawialiśmy na temat przyczyn i jego działalności.

**Bogdan Bomert:** Przyczyna aresztowania. No to mama tylko opowiadała, że ojciec był w AK, co mamie się nie podobało w tym sensie, że mówi: „Pewnego dnia wybrałam się do nich – bo ojciec był właśnie tam – wybrałam się do nich gdzie oni byli i oni się zachowywali niezbyt ostrożnie, bo ja weszłam tam bez żadnego »ale« do tego... Do nich. W środku, do mieszkania... Do danego domu, gdzie oni byli, siedzieli wszyscy razem. Przecież tam mógł wejść każdy wtedy, nawet i gestapowiec i ich wszystkich nakryć. Nie było żadnego tego, że był jakiś – załóżmy – wartownik, który pilnował, że oni są tu, ale nie wolno tam wchodzić”. I to się mamie nie podobało. Ale powiedziała, że właśnie ojciec był tam zatrudniony i najprawdopodobniej to było przyczyną aresztowania. Prawdopodobnie ktoś wcześniej ojca wydał i Gestapo wiedziało, co już jest i jego w ten sposób aresztowano. Tak że odnośnie przyczyny aresztowania, to mama mi powiedziała, że właśnie... Opowiadała też mama o swoim pobycie w obozie. Więc co mnie dziwiło najbardziej, jeśli idzie o postawę mamy, jej stosunek do Niemców i jej stosunek do Rosjan. Rosjanie, praktycznie rzecz biorąc, mamie nic nie zrobili, ale negatywny stosunek mamy do Rosjan był, do Niemców nie tyle. Niemcy zamordowali ojca, ją wzięli do obozu, tak że de facto powinna mieć pretensję do tych. Ale ona powiedziała to w ten sposób: „Jeśli idzie o Niemców, to w obozie niemieckim powiedzieli, Niemiec powiedział: »Tego ci nie wolno. Jeżeli będziesz to robił, zostaniesz za to ukarany«. Natomiast Rosjanie, Rosjan rozmawiał z tobą: »Ja, tyś mój przyjaciel, tyś mój brat i tak dalej, a z tyłu bagnetem w plecy«”. I stąd ta właśnie, jakby to powiedzieć, fałszywość Rosjan sprawiała to, że mama była negatywnie nastawiona do Rosjan nie do Niemiec. Dlaczego Niemcy? Niemcy powiedzieli... Mama pracowała w obozie tym przy wyrobie papierosów. Wtedy jeszcze papierosy robiono w takich tutekch-nietutekch, napełniano tytoniem i tak robili. Niektóre z Polek po prostu zabierały te papierosy, chowały sobie w intymnych miejscach – po to, żeby te papierosy wynosić. I jeżeli Niemiec złapał taką, że ona to robiła, ginęła, po prostu ginęła. No niby zamordowana, ale Niemiec wcześniej powiedział: „Nie rób tego. Jeżeli robisz, niestety zginiesz”. To było tyle, jak idzie o Niemców. Poza tym mama strasznie przeżywała to, bo właściwie w pomieszczeniu, w którym była, okno wychodziło na komin z krematorium, więc wstając rano, patrzy, dymi się komin i mogło być w jej głowie to pytanie: „Kiedy ja przejdę przez ten komin”. Ale Bogu dzięki, jako szczęśliwie przetrwała. Powiem: „Bogu dzięki”. Dlaczego. Bo ewakuując obóz niemiecki, Niemcy szli po prostu po drodze, zatrzymali się w jednym miejscu, tam postanowiła mama: To ja sobie zwięję, z jedną panią z Kwidzyna, też więźniarką, my się tutaj schowamy. Schowały się do takiej małej ubikacji z serduszkami. To wiemy, co to jest, taka tylko ubikacja. Tam się zamknęły, my tu przeczekamy, aż obóz sobie pójdzie dalej. W międzyczasie przypadkowo przechodziła jakaś wachmanka, otworzyła drzwi, patrzy, stoją dwie więźniarki. Co to za problem dla wachmanki, uzbrojonej, mającej zawsze pistolet przy sobie, wyciągnąć pistolet, zastrzelić, bo wiedziała, że one chcą uciec. Niestety zamknęła drzwi i poszła. Czyli powiem: „Dzięki Bogu mama przeżyła”. Nie była długo, bo to już było tyle, że 9 maja przyszedł niedługo. 9 maja oczywiście już było wyzwolenie, mama poszła niedaleko do jakiegoś folwarku dużego, w którym mądrzy ludzie byli na tyle, że nie dali mojej mamie jeść od razu, no jedz, ile chcesz, bo przecież jesteś z obozu, tylko powoli, stopniowo, tak, żeby mamie to nie zaszkodziło. Była tam, doszła do siebie już na tyle mocno, że postanowiła wrócić do domu. Szła

dwa tygodnie na piechotę do pierwszego toru kolejowego, gdzie mogła po prostu wsiąść w pociąg, też oczywiście platforma odkryta, bez żadnego ale i w tym powoli dojechała do Konopek. W Konopkach to już wiadomo jak było, już opowiadałem, że wróciła i po prostu była z nami już potem. Gralewo, Witkowo, później Gdańsk. W Gdańsku... No niestety ojciec zmarł w męczarniach. Mama miała jeszcze... Jeszcze wrócę do tego, że w czasie okupacji mama już miała raka kobiecych narządów, chyba macicy i tak dalej. Tak że ojciec zawiózł mamę do Warszawy, w Warszawie mama przeszła trzy i pół godzinną operację wycięcia tych wszystkich rzeczy. Ale operacja była na tyle udana, że dwa-trzy tygodnie po operacji mama została aresztowana i była w obozie w Ravensbrück. Wróciła do domu. W OGdańsku rak zaczął się znów odzywać. Mama przeszła prześwietlenia radiologiczne i te prześwietlenia były dla mamy na tyle szczęśliwe, że mama po tych prześwietleniach żyła jeszcze dziesięć lat w pełni zdrowa, można by powiedzieć, bo chodziła jak maszynka. Myśmy byli już w pracy, żona była w pracy. Mama przychodziła do domu, robiła nam pranie. Tak że była na tyle tego. Natomiast jak już przyszedł ten okres po dziesięciu latach, można by powiedzieć, powiedziała: „Synku, zabierz mnie do szpitala, bo ja już nie mogę wytrzymać, takie mam bóle”. W szpitalu mamę otworzyli, zobaczyli co jest, zamknęli, oddali do domu. I mama była na Boże Narodzenie... Po Bożym Narodzeniu była w szpitalu, wróciła do domu w styczniu, 30 marca niestety w bólach mama zmarła.

**Jacek Ryszko:** Który to był rok?

**Bogdan Bomert:** 1969. Tak że ojciec w bólach zmarł, no bo w Pomiechówku nie było... To nie było przedszkole i mama w domu z uwagi na chorobę też w męczarni zmarła. Tak że mogę powiedzieć, moi oboje rodzice odeszli z tego świata w bólu. Może dlatego ich cierpienia sprawiły to, że ja żyję do tego czasu. Mógłbym już dawno nie żyć. Wiele było przypadków, gdzie mogłem mieć wypadek - nie wypadek i tak dalej. Miałem nogę złamaną w tym czasie, bo miałem wypadek na motorze. Później choroby najróżniejsze i tak dalej. Ale jakoś, prawdopodobnie, tak mi się wydaje teraz, że te cierpienia rodziców sprawiają to, że jestem na razie przy życiu. To chyba tyle.

**Jacek Ryszko:** A jeszcze wracając do tego okresu przed aresztowaniem pańskiego taty, czy były jakieś sygnały, że Gestapo jakoś interesuje się pańskim ojcem?

**Bogdan Bomert:** Najprawdopodobniej... Ja nie mogę na tyle powiedzieć, bo byłem tylko, jak to się mówi, czasowo w domu. Ale tyle co byłem, no to więc oni odwiedzali Gralewo i najprawdopodobniej tylko w tym celu, żeby się dowiedzieć: „Aha, wiemy o tobie bratku to i to, co ty nam będziesz mówić?”.

**Jacek Ryszko:** Przychodzili do domu?

**Bogdan Bomert:** W domu byli, byli u nas w domu nie jeden raz. Raz pamiętam taki przypadek, że oni przyjechali już na wieczór, a w domu u nas był jakiś chłopak, ja wiem? Dziesięcio-, dwunastoletni z Warszawy. Tak że prawdopodobnie jakieś wiadomości ojciec przekazywał dalej, a ci byli przypadkowo niby. Tak że ten chłopak schował się pod stół, daleko żeby po prostu... A Gestapo przyszło... Żeby oni się nim nie zainteresowali. Tak że tak mi się wydaje, takie były sygnały, jeżeli idzie o to, że ojciec musiał już coś być obserwowany po prostu. To jest tyle, co mogę powiedzieć, domyśleć się tylko, domyślać, no bo ja jako chłopak... Raz, że mnie jako dziecku nie mówiono. To jest

jedno. No, a drugie, ja też po prostu... No nie wiem, no są, gestapowcy są. To jest wszystko. Po niemiecku mówiłem, więc wiedziałem, co mówili i tak dalej. Mieli ze sobą nawet takiego psa, tak wyszkolonego, że jeżeli ktoś sięgnął ręką do kieszeni nie wiadomo po co, on od razu łapał za rękę, bo może ktoś pistolet wyjmować. Więc takie drobiazgi tylko pamiętam, więcej niewiele. A czy mógłby pan powiedzieć, jak pan trafił do nas, do IPN-u, do Pomiechówka. Jeżeli idzie o to, to zawdzięczam to mojej żonie, bo prenumerujemy „Gościa Niedzielnego” i żona dosyć, dosyć tak, jak się to mówi, skrupulatnie, bym to powiedział, przegląda po kolei. I wyczytała artykuł pani Strzałkowskiej na temat właśnie Pomiechówka. I mówi: „Bogdan, Bogdan, Pomiechówek – mówi ci to coś?”. No oczywiście. I tam był też adres e-mailowy do pana Jeżółkowskiego. Jeżółkowski chyba. Tak, Piotr Jeżółkowski. I do niego napisałem, że mój ojciec był aresztowany tu i tu i tak dalej. Być może był w Pomiechówku, być może. Bo mnie się wydawało, że jego zabrali do Nowego Dworu, no bo tam babcia go widziała i tak dalej. Że on tylko tam był. Bo nie wiedziałem, gdzie i jego pytałem, Piotra, gdzie była siedziba Gestapo: czy w Pomiechówku, czy w Nowym Dworze. Ja nie wiedziałem. I on mi dopiero napisał, że tak. Potem za dwa dni dostaję e-maila: „Mam wiadomości o Twoim ojcu i jego kartotece Gestapo, gdzie tam był. Weź, poszukaj fort III Pomiechówek i lista więźniów”. I tam dopiero na własne oczy zobaczyłem: Adam Bomert, wszystkie dane, odnośnie kiedy został aresztowany. Co mnie też od razu ta poprawka, że nie był w Nowym Dworze, tylko oni jadąc, od razu go zostawili w Pomiechówku, bo pobyt w Pomiechówku od 17 kwietnia, czyli od dnia aresztowania. Tak że te wiadomości odnośnie tego są poprzez „Gościa Niedzielnego”, poprzez Piotra. Stąd mam te wiadomości już teraz, te najbardziej bolesne wiadomości o ojcu obecnie. Stąd znalazłem się tu. Co by można jeszcze mówić, to nie wiem.

**Jacek Ryszko:** Może coś o tej wczorajszej wizycie tam na miejscu już, w forcie III. Co pan czuł, wchodząc na teren tego obozu byłego?

**Bogdan Bomert:** No najpierw to strach w tym sensie, że myśmy przyjechali, szukali to, bo tam w zasadzie nie za wiele jest. Przyjeżdżamy, nie ma nikogo. Czy przyjechaliśmy nie za późno, czy coś, bo nie wiedziałem. Moja pamięć jest dobra, krótka, więc czy o 8.00 byliśmy umówieni, czy o 10.00, już mi wyleciało z pamięci. Ale na szczęście z ochrony był tam ktoś przy tej furcie. Aha, jak już ktoś jest, no to od niego można się dowiedzieć gdzie, kto, co. Po pewnym czasie przyjechał już później Piotr. Al to już byliśmy. Weszliśmy do środka. Dla mnie, no niestety, ale to są bardzo, bardzo bolesne... Jestem z powołania, z wykształcenia w zasadzie projektantem, więc wyobraźnię, jak to wygląda, no bo projektant właściwie robiąc jakąś na przykład, projektując maszynę, najpierw siada do pustej kartki, kalki, robi kreskę symetryczną i tak dalej, żeby tego... I ją wygumkuje, i zaczyna od tego. Najpierw musi to widzieć, żeby zacząć po prostu coś projektować. Stąd będąc tam, widziałem, jak szedł ojciec i jak go wieźli. Jego zaskoczenie po prostu, że od razu. No bo zaczął człowiek jako po prostu energiczny kupiec, a tu raptem został potraktowany jak szmata. Od razu już go traktowali, już później tylko... Od razu jeżeli co, no to bili – nie bili i tak dalej. Stąd moje bolesne po prostu odczucia, że on jest traktowany już jako, jak zbrodniarz po prostu. Ta droga po prostu, którą jego prowadzono – nie prowadzono, nie wiem, jak to było, ale tam później jak przebywał w tych celach. Te cele, to co z opisu również później wiedziałem, bo zaczynałem czytać te opowiadania w komputerze, tak że wiedziałem, w jakich warunkach ci więźniowie byli. No jeżeli ojciec był tam między nimi, no to przecież coś strasznego, można powiedzieć, coś bolesnego dla mnie. Ja nie mogłem się powstrzymać od płaczu, co z nim po prostu było. [...] Jest to bolesne dla mnie, tyle mogę powiedzieć.